

Pamiętna noc na Monte Cassino



Zofia i Florian Śmieja z dziećmi w podróży.

Florian Śmieja

Z żoną i czworgiem dzieci kempingowym samochodem wybrałem się do Polski w 1974 roku, a w drodze powrotnej jadąc do Hiszpanii odwiedziliśmy Włochy.

Miało się ku zachodowi, był czas ruszyć w drogę powrotną do Rzymu. Gdy zapadł już zmrok zbliżyła się odnoga szosy prowadząca do Cassino. Postanowiliśmy zboczyć. Kiedy po kilkunastu kilometrach byliśmy u podnóża góry, stanęliśmy, by zasięgnąć języka. W barze Włoch opisał drogę na cmentarz, ale nie umiał nic więcej powiedzieć o nim, bo dawno nie był na górze. Wjechaliśmy więc w ulice miasta, a znalazłszy drogę wiodącą do klasztoru, jęli się wspinać na strome zbocza Monte Cassino. Wóz nasz z mocnym warkotem parł wytrwale w ciemnościach windując się co raz wyżej nad rzęsiście oświetlone miasto. Niebo było naładowane gwiazdami a ponieważ był początek stycznia 1975 roku, powietrze było chłodne. Gdy dojechaliśmy do rozwidlenia dróg, byliśmy w ustroniu nad którym stał biały, upiorny w księżycowej poświacie klasztor bez jednego światełka z jednej strony, na tle ciemnych szczytów lasu z drugiej strony.

Stanąwszy w końcu przed bramą, zauważyliśmy napisy i poszliśmy, uzbrojeni w latarkę w kierunku, jak miało się wnet okazać, złym. Wątki migot prowadzącego nas światła wnet

ogarnęły lasy porastające górę, kiedy zaczęliśmy iść pod górę w ciemną noc w poszukiwaniu grobów żołnierzy, których droga tu się urwała. Dzieci ogarnął jakiś lęk, bo szły nadzwyczaj skupione podekscytowane całą wyprawą, a napisy na drzewach ostrzegały, że okolica pełna była niewypałów.



1946 rok. Ruiny klasztoru Monte Cassino - krzyż nagrobny na Polskim Cmentarzu Wojennym, fot. T. Zajączkowski.

Szliśmy ostrożnie dziwując się, że to tak daleko i wysoko. W dwu miejscach natrafiliśmy na skrzyżowanie, ale w końcu stanęliśmy na szczycie, na którym wynosiła się nad okolicę iglica imponującego pomnika ku czci żołnierzy 3 Dywizji Strzelców

Karpackich. Okazało się, że byliśmy na wzgórzu Albaneta, o które toczyły się krwawe walki, w których oprócz Polaków brali udział żołnierze oddziałów brytyjskich, amerykańskich, indyjskich i Gurków. Na tej „górze ofiarnej” przy świetle latarki czytaliśmy nazwiska żołnierzy poległych na ziemi włoskiej. Kiedy tak staliśmy na chłodzie i patrzeli na okolicę zrozumieliśmy, że zagubiliśmy drogę i trzeba było zejść w dół. Przy dramatycznym akompaniamencie spadających „gwiazd”, którym dzieci nie mogły się nadziwić, kiedy odbiwszy w bok i uszedłszy kawałek zbudziliśmy sforę psów w jakimś gospodarstwie, spotkaliśmy ludzi i wyłuszczyliśmy im nasz interes po nocy. Wy tłumaczyli nam jak iść, a nawet podwieźli samochodem. Od bramy, gdzie stał nasz wóz trafić było łatwo. Obok włoskiego pomnika biegły schodki, które szeroką aleją wiodły do cmentarza. Wnet stanęliśmy przed żelazną bramą zamkniętą na łańcuch. Nie chcieliśmy jej forsować, nie godziło się przez nią przechodzić. Odczytaliśmy napisy, przy latarce kontemplowaliśmy zbiór mogił żołnierzy, co ziemi włoskiej oddali ciało, a Polsce serce. Nasza modlitwa o spokój ich dusz, kiedy staliśmy w ciemności pod gwiazdzistym niebem przed zamkniętą kratą cmentarza w zimną noc styczniową miała w sobie coś z romantyzmu i ironii montekasyńskiego czynu. Przyszły mi na myśl słowa Zbigniewa Herberta:

Bohaterowie nie wrócili z wyprawy

Nie było bohaterów

Ocaleli niegodni

Bo jak powiedział jeden z uczestników włoskiej kampanii, który zginął pod Anconą: „z tej wojny nie należy wracać”.

Kiedy odjeżdżaliśmy zziębnięci, przejęci i zmęczeni, nie byłem pewien, czy to przeciwstawienie niememu klasztorowi upiornie płynącemu po niebie, bladej kwatery poległych żołnierzy, jest najszcześniejsze i czy zwycięzcy na dłuższą metę nie przypłacą tego także swoim dobrym imieniem.

I w milczeniu powróciliśmy późną nocą do Rzymu.